

Treść tekstu z tablic informacyjnych

Cześć poświęcona historii obozu i relacjom świadków

Obóz Gemeinschaftslager Belkow dla jeńców wojennych i pracowników przymusowych (znany również pod nazwami: Lager Belkow – Madüsee, Ausländerlager/Arbeitslager Belkow) funkcjonował w latach 1941 – 1945 przy zakładach torpedowych Torpedowaffenplatz Madusee nad jeziorem Miedwie i należał do największych tego typu obozów na Pomorzu Zachodnim.

Zlokalizowany był na działkach geodezyjnych nr 401/4, 401/3 i 401/2, obręb Bielkowo. Obecnie działki 401/4 i 401/3 należą do terenów zamkniętych decyzją Ministra Obrony Narodowej - znajduje się na nich jednostka wojskowa 102. Batalionu Ochrony w Bielkowie, natomiast działka geodezyjna nr 401/2 – zlokalizowana na zachód od ww. jednostki – stanowi własność Skarbu Państwa.

Kompleks oprócz obozów obejmował: warsztaty i montownie torped, magazyny gotowych torped i ich elementów, budynki mieszkalne, elektrownię oraz poligon pomiarowy na wodach jeziora i przystań z grupą jednostek pływających. Połączony był linią kolejową z trasą kolejową z Reptowa do Szczecina oraz z zakładami zlokalizowanymi w kompleksie leśnym pomiędzy Kobylanką a Jezierzycami.

Z dokumentów Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz dokumentów zgromadzonych przez dr. Bogdana Frankiewicza z Archiwum Państwowego w Szczecinie wynika, że w 1941 r. w obozie przebywało 160 jeńców radzieckich, 500 robotników cudzoziemskich i 200 niemieckich. Dnia 24 kwietnia 1943 r. do obozu przywieziono transport

ludzi z Ukrainy. Ostatni zachowany meldunek obozowy z 18 czerwca 1943 r. podaje,

że do obozu przybyło wtedy 172 Niemców, 220 obcokrajowców, 73 Polaków, 170 jeńców francuskich i 45 jeńców radzieckich. Jesienią 1944 r. po upadku Powstania Warszawskiego do obozu trafiła grupa Polaków z Warszawy. Jak podaje Witold Duniłowicz w swojej książce „Trzy kolory mojego życia” (wydanej pod nazwiskiem William Dunwill przez Żydowski Instytut Historyczny IN-B) w obozie obok Polaków przebywali również Rosjanie, Ukraińcy, Francuzi, Czesi i Serbowie. Z relacji polskich pracowników przymusowych – Pani Wiesławy Gołębiowskiej z Warszawy i przywołanego wyżej Pana Witolda Duniłowicza z Siedlec wynika, że w końcowym etapie funkcjonowania obozu w Bielkowie byli w nim przetrzymywani również lotnicy amerykańscy.

Częściowo ewakuowany obóz i zakłady torpedowe zajęli w marcu 1945 r. żołnierze radzieccy, którzy dokonali demontażu i wywozu większości specjalistycznego sprzętu

i wyposażenia wojskowego. - *Sprzęty i materiały przejęte w torpedowni nad Miedziem skierowano natomiast do fabryki nr 182 w Machaczkale w Dagestanie. Zdemontowano nie tylko wyposażenie (w tym elementy transportowe i wyposażenie określane jako „specjalne”), ale i torpedy. Tych ostatnich było 800 sztuk, a oprócz nich 200 żyroskopowych przyrządów „Obri” służących do utrzymania właściwego kierunku torpedy. Na demontaż wyznaczono czas od 10 kwietnia do 10 maja, a za jego dotrzymanie oraz zapewnienie niezbędnej siły roboczej odpowiedzialny był naczelnik Głównego Zarządu ds. Trofiejnych (Zdobyczy Wojennych) Armii Czerwonej gen. por. Fiodor Wachitow – możemy przeczytać w książce pt. „Zamęt. Czas powojnia w Stargardzie i okolicznych miejscowościach. Część I. Ku końcowi” autorstwa Pani Jolanty Aniszewskiej. Na przełomie lat 1949 i 1950 obiekt przejęło Wojsko Polskie. Kompleks trafił pod administrację 5. Mazurskiego Pułku Saperów. Z meldunku złożonego w grudniu 1950 r. szefowi Sztabu*

Generalnego Wojska Polskiego wynika, że na terenie kompleksu zakładowo - obozowego znajdowało się 77 budynków, w tym 19 budynków murowanych, torpedownia, dwa transformatory i 45 baraków drewnianych. W meldunku wspomniano również o częściowo lub całkowicie zatopionych w jeziorze Miedwie dwóch holownikach, łodzi motorowej i trzech barkach.

Z informacji, jakie przekazała dr. Bogdanowi Frankiewiczowi z Archiwum Państwowego

w Szczecinie listownie Pani Wiesława Gołębiowska, która trafiła do bielkowskiego obozu

z Warszawy po upadku Powstania Warszawskiego wynika, że warunki obozowe były bardzo ciężkie. - **Podczas ostatnich walk na Powiślu w czasie Powstania Warszawskiego i wybiciu już powstańców i ostatnich żołnierzy z armii gen. Berlinga, zostaliśmy wraz z moją matką zabrane przez wojsko niemieckie najpierw do obozu w Pruszkowie koło Warszawy,*

a następnie wywiezione w wagonach towarowych z setkami innych Warszawiaków do Rzeszy Niemieckiej. Prawdopodobnie zamiarem Niemców było pozostawienie nas w głębi Rzeszy, ale nalot na tory kolejowe w czasie transportu (jak się później dowiedzieliśmy – w okolicy Berlina) zmusił Niemców do skierowania pociągu w kierunku powrotnym i tak wylądowaliśmy w Stargardzie Pomorskim w obozie przejściowym (...). Z obozu w Stargardzie do obozu Madüsee dostaliśmy się zupełnie przypadkowo. Jak pamiętam do obozu

w Stargardzie zgłosił się m. in. sierż. niemiecki (nazwisko Opiela). Był to Ślązak w wojsku niemieckim, mówiący językiem polskim w gwarze śląskiej i właśnie dzięki niemu zabrano nas do pracy w firmie Hilbert. Razem zabrano nas 4 kobiety (...) wszystkie z Warszawy. Nie wiedzieliśmy wówczas dokąd jedziemy późnym wieczorem jakimś

wojskowym samochodem. Ponieważ z Warszawy byliśmy zabrane tak, jak stałyśmy, bez cieplejszej odzieży, sierż. Opiela postarał się dla nas o jakieś używane ciepłe kurtki i spodnie wojskowe oraz drewniaki i onuce. Jak pamiętam obóz nie był usytuowany w samej wsi Belkow, ale około 3 km w jej pobliżu. Obóz Polaków składał się z 3 – 4 dużych (jakby podwójnych) drewnianych baraków. Natomiast za ogrodzeniem z drutu kolczastego były takie same baraki przeznaczone dla Rosjan. Tam, w jednym z baraków przebywały same kobiety (Ukrainki). W przeciwnym do obozu Rosjan kierunku był obóz Francuzów i Włochów. Wiem, że ten obóz znajdował się tuż niedaleko torów kolejowych, gdyż pamiętam, że kilkakrotnie prowadzono nas do kolejki wąskotorowej, którą wożono nas do pracy razem z Włochami i Francuzami (...). W obozie w Madüsee, w tym baraku, w którym nas zakwaterowano miałyśmy 4 – osobową sztabę tuż przy samym wejściu, jakby oddzieloną od pozostałej części baraku, gdzie mieszkali już robotnicy zatrudnieni w dwóch niemieckich firmach – Paul Hilbert i Schneider. W tym baraku, jak i następnym mieszkali sami mężczyźni – Polacy, przeważnie pochodzący z Łodzi i Poznania. (...) Mniej więcej do połowy stycznia 1945 r. zatrudnieni byliśmy przy pracach budowlanych w lesie za wsią Belkow, dokąd udawaliśmy się pieszo. Była wtedy śnieżna i mroźna zima i zaspły na szosie do wysokości człowieka. Przechodziliśmy przez wieś Belkowi dalej w głąb lasu, gdzie budowano jakąś fabrykę (mówiono wtedy, że była to fabryka broni). Zatrudniano nas przy budowie fundamentów, kopaliśmy ziemię i piasek, ładowaliśmy na wagoniki i przewoziliśmy je poza teren budowy. Praca rozpoczynała się bardzo rano, a kończyła wieczorem. Po powrocie do obozu udawaliśmy się do trzeciego baraku, gdzie mieściła się kuchnia i stołówka. Tam otrzymywaliśmy skromny posiłek (przeważnie jakaś gęsta zupa) i suchy prowiant na kolację i śniadanie – pisała w swoim liście Pani Wiesława, która w obozie w

Bielkowie przeżyła także kilka ciężkich nalotów bombowych. Z relacji Pani Wiesławy Gołębiowskiej wynika, że obóz jeniecki został ewakuowany w połowie stycznia 1945 r. – *Tylko my kobiety byłyśmy wzięte do sprzątnięcia tych rosyjskich baraków. Mężczyźni byli zabierani gdzieś do budowy okopów. Były to wyjazdy kilkudniowe. W obozie następowało zupełne rozprężenie. Lagerführer zaprzestał swoich obchodów i kontroli. W tym czasie nie dostawaliśmy już nawet jeść. Zmuszeni byliśmy chodzić do wsi Belkow do Niemców po prośbie, aby wyżebrać trochę ziemniaków lub chleba. Wreszcie, korzystając z nadarzającej się okazji, uciekłyśmy z obozu do ewakuowanej wcześniej wsi. Tu przebywałyśmy kilka dni (ok. 4) do dnia przyjscia frontu radzieckiego. Z tym faktem zaczęły się nowe ciężkie przeżycia. Z trudem, ale udało nam się uzyskać możliwość wydobycia z tego piekła frontowego przy pomocy podwody, która przybyła z Gniezna i udała się w drogę powrotną do Polski –* napisała Pani Wiesława.

Jeńcy wojenni i pracownicy przymusowi obozu w Bielkowie byli również świadkami przeprowadzanych w nim egzekucji. Jedną z nich opisuje Pan Witold Duniłłowicz w swojej książce „Trzy kolory mojego życia”. – *Któregoś dnia rano zabroniono nam opuszczać baraki aż do odwołania. Po godzinie kazano nam wyjść na tyły zabudowań. Stał tam kordon żołnierzy Waffen SS z bronią gotową do strzału. Za nimi ustawiona była szubienica, na której wisiał człowiek. Esesman oświadczył nam przez tłumacza, że wisielec był cudzoziemskim robotnikiem przyłapanym na sabotażu. Niech żadnemu z nas się nie wydaje, że nie jesteśmy kontrolowani i w obliczu zbliżającego się frontu możemy sobie pozwolić na lekceważenie niemieckiego prawa. Po tej demonstracji siły kazano nam udać się do miejsc pracy –* możemy przeczytać w książce Pana Witolda Duniłłowicza.

Osoby zmarłe lub zabite w obozie grzebano w lesie pod miejscowością Bielkowo. – *Śmiertelność w obozie była bardzo duża. Umarłych chowano w małym lesie sosnowym za wsią Belkow, po lewej stronie idąc do miejscowości Karolinenhorst (Reptowo) – możemy przeczytać w liście Pana Tadeusza Galanta, pracownika przymusowego ze Zgierza do dr. Bogdana Frankiewicza z Archiwum Państwowego w Szczecinie. Firma Karl Below jr. ze Szczecina, w której był zatrudniony Pan Tadeusz Galant, brała udział w budowie wyrzutni torped na jeziorze Miedwie. – W 1941 r. we wrześniu zostałem z grupą Polaków wywieziony do Szczecina do pracy w firmie Karl Below i skierowany na budowę Belkow - Madüsee do pracy przy nawiertach studni głębinowych systemem mechanicznym do głębokości 70 m o średnicy 14 cali – otworów wykonaliśmy trzy. Następne odwierty zostały wykonane na Jeziorze Madüsee w oddaleniu 40 m od brzegu, były to próbne wiercenia do głębokości 20 m o średnicy 12 cali. Urządzenia wiertnicze były zamontowane na platformie z zamontowanymi pływakami i zabezpieczone kotwicami. Po zakończeniu czterech odwiertów próbnych urządzenie wiertnicze zostało zdemontowane. Do dalszych prac przystąpiła firma Franz Kubal. Rozpoczęła palowania na przestrzeni 50 m w kwadracie w pobliżu wykonania próbnych odwiertów. Palowania wykonano przy pomocy pływających kafarów (młotów parowych). Zaznaczam, że wszelkiego rodzaju sprzęt, urządzenia i materiały budowlane były dowożone przy pomocy łodzi motorowych i małych barek obsługiwanych przez marynarzy Kriegsmarine. Z wypowiedzi pracowników niemieckich zatrudnionych na budowie wynikało, że po zakończeniu prac na tych palach powstaną fundamenty żelbetowe, gdzie zostanie zbudowane urządzenie do prób z torpedami dla łodzi podwodnych Kriegsmarine –*

napisał

w swoim liście Pan Tadeusz Galant.

Do ciekawostek należy zaliczyć fakt, że w ostatnich tygodniach swojego funkcjonowania, już po częściowej ewakuacji i w trakcie rozprężenia dyscypliny obozowej, obóz w Bielkowie był miejscem ukrywania się trzech oficerów Wojska Polskiego, którzy uciekli w styczniu 1945 r. z kolumny oficerów pędzonych z Oflagu II C Woldenberg (obecnie pol. Dobiegniew) w kierunku Szczecina. Pomocy uciekinierom udzielił wspomniany wyżej Pan Witold Duniłowicz, pracownik przymusowy z obozu w Bielkowie, który tego dnia jechał z innymi pracownikami ciężarówką po zaopatrzenie do Stargardu. – *Wyjechaliśmy około dziewiątej rano z zamiarem powrotu około czwartej po południu. Z naszego obozu trzeba było przejechać około pięciu kilometrów do głównej szosy wiodącej ze Szczecina do Stargardu. (...) Polecono nam zjechać z drogi. Znowu szli jeńcy. Ale jacy? (...) Siedzieliśmy na skrzyni naszej półciężarówki, na poboczu szosy, przyglądając się mijającym. Zaczęło się nam wydawać, że mundury są znajome. Kolega siedzący przy mnie nagle je zidentyfikował. Mundury były nieregulaminowe, ale z polskimi odznakami. Siedzieliśmy wstrząśnięci tym odkryciem. O ile do wchodzącej do obozu kolumny Amerykanów machaliśmy, krzyczeliśmy i staraliśmy się zwrócić ich uwagę, to teraz siedzieliśmy milcząco jak zamurowani. Niespodziewany widok wlokących się ludzi zaszokował nas. (...) Zaczęliśmy na głos wymieniać wrażenia. W tym momencie ktoś zaczął wołać na nas po polsku z pobliskich zarośli. (...) Pobiegliśmy do krzaków odległych może o 20 – 25 metrów. Stało tam trzech ludzi w polskich mundurach. (...) Tymi trzema oficerami byli: ppłk Stanisław Piwakowski – zastępca dowódcy centrum wyszkolenia artylerii w Toruniu, kpt. Tabiszewski – wicemistrz jazdy konnej Armii Polskiej w 1939 r. i kpt. Julian Wichura – Czerwiński* – dowódca kompani w Pułku*

Strzelców Podhalańskich – napisał w „Trzech kolorach mojego życia” Witold Duniłowicz. – Byli już czwarty dzień w marszu. Władze niemieckie nie dały im żadnych środków lokomocji, każąc ludziom nie używającym ruchu prawie od 1939 roku maszerować po 10-12 godzin dziennie, bez zorganizowanych posiłków i noclegów. (...) Po ucieczce w żadnym przypadku nie chcieli przebrać się w cywilną odzież. Wyjaśnili, że mają obowiązek pozostać w mundurach bez względu na okoliczności, zgodnie z konwencją genewską. Nie zdawali sobie sprawy, że w razie wpadki Niemcy przez moment nie zastanawialiby się nad ich losem czy konwencją. Polscy oficerowie zaraz po ukryciu się w bielkowskim obozie zaczęli obmyślać plan ucieczki na wschód, w kierunku nacierających wojsk polskich i radzieckich. Do ich ucieczki dołączył również Pan Witold Duniłowicz. – Wyszliśmy nad ranem. Udało nam się znaleźć kawałek mapy, która nam znakomicie pomogła w omijaniu zamieszkanym miejsc. Szliśmy dość ostro, a noce spędzaliśmy w stogach. (...) Mundury moich towarzyszy nie rzucały się bardzo w oczy. Poszli na kompromis, mieli na wierzchu jakieś okrycia. (...) Byliśmy bardzo zdeterminowani, ale również zmęczeni i głodni. Tempo posuwania się na wschód bardzo zmalało ze względu na ilość wojska w okolicy. Czasami zdarzało się, że przez wiele godzin nie mogliśmy nosa wysadzić ze stogu, w którym siedzieliśmy. Mimo wszystko parliśmy na wschód. Teraz w ciągu jednej nocy mogliśmy przejść tylko 2- 3 kilometry – tak opisywał ucieczkę swoją i polskich oficerów z obozu w Bielkowie. W końcu uciekinierzy spotkali na swojej drodze żołnierzy nacierającego ze wschodu frontu. Ci postanowili odprowadzić ich do sztabu. – Eskortujący nas żołnierze każdorazowo starali się wyjaśnić, co i jak i dokąd nas prowadzą. Po przejściu około kilometra, zatrzymał nas patrol wojsk NKWD. Po wysłuchaniu wyjaśnień przejęli nas od naszych opiekunów, którym kazali wracać do kompanii, a sami załadowali nas na czekający samochód ciężarowy i zawieźli w

*drogą stronę. (...) – napisał w swojej książce Pan Witold Duniłowicz. Uciekinierzy zostali poddani wielokrotnym przesłuchiwaniami przez NKWD. – Koło godziny ósmej rano młodszy lejtnant zaprowadził naszego podpułkownika do „towarzysza majora”. (...). Po godzinie wezwano Julka Wichurę – Czerwińskiego**, a po następnej godzinie kpt. Tabiszewskiego. Zostałem sam. Żaden z nich nie wrócił do pokoju po rozmowie z oficerem NKWD. Nareszcie zaprowadzono mnie do pokoju majora. (...) Kazał mi opowiedzieć dokładnie ze szczegółami historię spotkania z oficerami. Chciał wszystko wiedzieć o naszym obozie „Seehund” w Madüsee, o fabryce torped, jak wyglądały i co robiliśmy przy nich – napisał Witold Duniłowicz. Wszyscy uciekinierzy przeżyli wojnę. Autor książki oraz ppłk Stanisław Piwakowski i kpt. Julian Wichura – Czerwiński* po wojnie żyli i pracowali w Szczecinie. Ppłk Stanisław Piwakowski, odznaczony między innymi orderem Virtuti Militari kl. V, spoczywa na Cmentarzu Komunalnym w Szczecinie. W obozach w Bielkowie przebywało łącznie około 2 000 osób różnych narodowości. Cześć Ich pamięci!*

* cytując autorów książek i listów zachowano pisownię oryginalną

** istnieje rozbieżność między cytowanymi wspomnieniami a stanem faktycznym. W dokumentach należących do zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej figuruje kpt. Juliusz Wichura – Czech, były więzień oflagu II Woldenberg, powojenny mieszkaniec Szczecina. Zgromadzona dokumentacja archiwalna nie potwierdza przynależności kpt. Juliusza Wichury – Czecha do formacji wojskowej wskazanej w cytowanym fragmencie książki Witolda Duniłowicza. Nazwisko Juliusza Czecha w stopniu hptm, (kapitana) figuruje również na liście obozowej więźniów oflagu II c Woldenberg opublikowanej na stronie internetowej <http://woldenberczycy.pl>. W ww. źródle ujęte zostało również nazwisko

Juljana (sic) Czerwińskiego, który posiadał jednak stopień Ltn. (podporucznika). Zbieżność faktów biograficznych pozwala na stwierdzenie, że właściwymi danymi osoby wymienionej w książce Witolda Duniłowicza jest kpt. Juliusz Wichura – Czech., a nie Julian Wichura – Czerwiński.

Zdjęcia pochodzą z materiałów własnych projektu „Strefa Miedwie – poszukując historii”, prywatnego archiwum Pana Jarosława Tomczaka oraz Wikimedia Commons.